MARINO FALIERI,

powieść

z Hoffmanna.

Dawno już temu, i jeśli się tylko nie mylę, było to w miesiącu sierpniu 1354 roku, kiedy waleczny admirał genueński, Paganino Doria, pobił Wenetów i zabrał im miasto Parinzo. Zbroyne jego statki krążyły wokoło brzegow zatoki weneckiey, jakby jakie zgłodniałe żarłoczne potwory, co idąc i wracając się nazad, czyhają tylko chwili w któreyby mogły uchwycić swą zdobycz. Drżały lud i rząd wenecki. Wszystko, co tylko żyło, jęło się oręża lub wiosła. Zebrały się woyska w porcie ś. Mikołaja. Czółna, drzewa, kamienie wszystko zarówno zwalano do zatoki, dla wstrzymania i utrudzenia przystępow nieprzyjacielowi; i kiedy śrzód zgiełku i tłumu rozlegał się szczęk oręża; kiedy szum wody od rzucanych zapor obudzał wszystkie echa sąsiednie, chodząc po Rialto agenci Senatu okryci potem ze zmienioną twarzą, i drżącym głosem zamieniali na gotówkę, przy grubych procentach, skarbowe papiery: bo rzeczpospolita stała nad przepaścią zguby.

Podobało się Opatrzności w jey niedościgłych wyrokach, zabrać ludowi naczelnika w chwili powszechnego smutku i trwogi. Doża Andrea Dandolo, którego Wenetowie nazywali swoim hrabiątkiem, *il caro contino*, umarł pod ciężarem trosków i pracy. Powszechnie był lubiony: bo nigdy nie wyszedł na plac ś. Marka, żeby kogo nie wsparł radą, lub pieniędzmi; żeby ko-

go nie pocieszył; a kiedy dzwony wielkiego kościoła oznaymiły zgon jego, rozległ się smutek powszechny. Utracili w nim Wenetowie wsparcie, nadzieję; czekali już tylko chwili, w którey uchylić mieli głowę pod jarzmo Genui; takto ubolewano, a przecież strata Dandolo nie zmieniła w niczém zewnętrznego rzplitey położenia. Bo też w rzeczy samey hrabiątko, wolało pokoy i spoczynek, wolało śledzić tajemnicze konstellacyy obiegi, niż zewnętrzney polityki kroki; i lepiey prowadziło w dzień świąteczny processyą, niżby mogło woysku dowodzić. Chodziło tu o obranie nowego Doży, któryby łączył w sobié wojenne przymioty wodza, z mądrością urzędnika. Zebrali się więc senatorowie, a w całém zgromadzeniu, widać było zasępione twarze, z nieruchomym wzrokiem. Gdzieżby znaleźć męża, coby silną ręką objął wodze rządu? Stary nakoniec senator Marino Bodoeri tak się odezwał.

„Takiego człowieka, jakiego szukacie, nie znaydziecie pomiędzy sobą; lecz zwróćcie oczy na Awenion, gdzieśmy wysłali Marino Falieri, winszować papieżow i Innocentemu, wstąpienia na stolicę apostolską; on jeden może nas wyrwać od grożącey zguby. Obierzmy go Dożą. Powiecie mi, że ten Marino Falieri jest już ośmdziesięcioletni starzec, że zpod jego siwych włosów czerwieniejące policzki więcey mówią o cypryyskiém winie, niż o dzielności umysłu; ale niech was powierzchowność nie łudzi. Przypomniycie jego waleczność, kiedy na morzu Czarném przywodził flocie; przypomniycie jego zasługi, co mu nadały dozor nad kościołem ś. Marka, i dziedzictwo bogatego hrabstwa Valdemarino.”

Tak żywo wystawił Bodoeri zasługi Faliego, że wszystkie głosy połączyły się w wyborze. Nie jedni wprawdzie z senatorów, mówili o jego żartkim gniewie, chęci panowania i uporze; lecz odpowiadano, że wszystkie te wady młodości jego, zmienił czas w ośmdziesięcioletnim starcu. Wreszcie oklaski ludu zagłuszyły wyraz nagany; tak, jak to zawsze bywa w poruszeniach gwałtownych, że motłoch naydziwacznieyszy wybor uważa za natchnienie niebios.

Nieboszczyk Doża, mimo całey swojey słodyczy i dobroci, był w krótce zapomniany: słychać było wszędzie mówiących: na świętego Marka, ten Marino powinienby oddawna bydź Dożą: nieśmiałby dzisiay pyszny Doria kręcić się po naszych zatokach. Kalecy żołnierze, podnosząc swe ocięte dłonie wołali: oto Falieri, co pobił Morb-Hassana, którego flaga panowała po Czarném - morzu! Wszędzie, gdzie tylko lud się zgromadził, opowiadano sobie nawzajem, czyny dawney świetności Falierego, i słychać było radośne okrzyki, tak, jakby już Doria był przegnany. Na dobitek wszystkiego, nie wiedzieć, jakim się to sposobem stało, że Nicolo Pisani, powracając z Sardynii, nie napotkał nigdzie floty Doria; ztąd wniesiono, że i genueńskie okręty poszły za nim, na sam odgłos strasznego imienia Falieri. Byłato wówczas fanatyczna u pospólstwa radość: postanowiono z niesłychaną dotąd wystawą przyjąć nowego Dożę. Senat wysłał do Werony poselstwo z licznym orszakiem, dla oznaymienia mu o wyborze. Piętnaście statkow rzplitey, bogato przyozdobionych, pod dowództwem Taddeo Giustini-

ani, syna Podesty Chioggia, wypłynęło do Chiozzo po Dożę, a ztamtąd niosły go do San-Clemente, gdzie już miał oczekiwać ogromny statek Bucentaur.

W chwili, kiedy Marino Falieri wstępował na Bucentaura; było to 3 października, o zachodzie słońca; nieszczęsny jakiś biedak leżał na marmurowym bruku pod kolumnadą Dogany. Łachmany grubego w kolorowe pasy płutna, których już barwy odróżnić nie można było, co zdaje się jednak, że niegdyś składały suknię wioślarza lub innego jakiego niskiego służalca okrętowego, osłaniały jego wychudłe ciało; biała i delikatna płeć, świeciła się zpod oszarpanych szmatow. Na wychudłem ciele lepiey się jeszcze oznaczał piękny skład jego, a patrząc na śliczny włos świątły, w nieładzie na czoło mu spadający, na błękitne nędzą wciśnione oczy, orli nos, kształtne usta, wyraźnie trzeba się było domyślać, że nieprzyjaźny los strącił tego cudzoziemca z wysokiego rzędu na nayniższy stopień motłochu.

Tak leżał pod kolumnami Dogany, wsparłszy głowę na prawém ramieniu, pozierał po morzu, błędném i bez życia okiem. Patrząc na tę jego nieruchomość, powiedziałby kto, że to trup, falą na brzeg wyrzucony, gdyby nie słyszał od czasu do czasu jęku, co mu się głęboko z piersi dobywał. Wyciskał mu go zapewna ból lewego ramienia, które okręcone w okrwawione łachmany trzymał na bruku zwieszone.

Ustały prace, ucichł huk robotników i kupców, cała Wenecya na tysiącach czółen i gondolach pływała przed Falierym, a nieszczęśliwy

cudzoziemiec tarzał się bez wsparcia. Ale w chwili, kiedy osłabioną głowę zwiesił na marmurowe stopnie, kiedy zamykały się powieki, przytłumiony głos jakiś kilkakrotnie powtórzył: Antonio! móy drogi Antonio! Dźwignął się z trudnością biedak, i wspierając głowę o kolumnę Dogany zpoza którey zdawało mu się, że ten głos usłyszał, i ledwo wymówił: — Któż mię tam woła? czyjaż litościwa pomoc przychodzi wrzucić mego trupa do morza: bo już umiéram?

Niska jakaś staruszka przystąpiła do ranionego młodzieńca, i popatrzywszy nań kilka chwil, rzekła: — Biédnę dziecię, chceszże ty umierać, kiedy złoty dzień wschodzi dla ciebie! Spóyrzyy tam pozamorzu, na te ogniste wstęgi, one ci skarby zwiastują; ale podjedz i napiy się, drogi Antonio, podjedz i napiy się, boś ty tylko głodem na bruk zwalony, ramie twoje już zdrowe.

— Day mi pokoy, dozwól umrzeć spokoynie, odpowiedział młodzieniec, poznawszy żebraczkę, z którą nie raz dzielił się ostatnim groszem; wiém, że to więcey głód, niż rana sił mnie pozbawił; od trzech dni jeszczem ani jednego nie zarobił *quatrino*. Chciałem dowlec się, ot tam do klasztoru, i wystarać się kilka łyżek supy; ale wszyscy odpłynęli, nikt mię przez litość nie zabrał do czółna; padłem tutay i pewno już nigdy nie wstanę.

— Eh! po cóż zaraz rozpaczać, rzekła stara, chcesz jeść, chcesz pić? doradzę temu wszystkiemu. Oto masz suszoną rybkę, com dziś na rynku kupiła, masz napoy i bułkę. Jedz i piy, móy synu, zaraz ci ramię opatrzę.

Natychmiast żebraczka zdjęła torbę, co na

jey plecach, jak kaptur wisiała, i podała mu pokarm. Skoro tylko Antonio odwilżył śpiekłe swe usta, odezwał się głód nanowo. Pożerał wszystko, co mu tylko podała. Tymczasem staruszka odwinęła mu rękę; postrzegła, że rana ciężka, ale łatwa do ugojenia; przyłożyła maść, którą wprzód własném chuchaniem zmiękczyła. No i któż cię tak srodze uderzył, biedny móy chłopcze? zapytała. Nabrawszy nowych sił Antonio, uczuł powracający ogień życia, i zerwał się ze zwartą pięścią, i iskrzącemi oczyma.

— Ah to ten łotr, Nicolo, chciał mię zabić, za nędzne rzucone *quatrino*, którego mi pozazdrościł. Wiesz staro, jak ciężko zarabiałem na życie, nosząc ze statkow towary do niemieckiego sklepu w Fontego....

— W Fontego, Fontego! powtórzyła stara.

— Milcz, kiedy chcesz, żebym ci gadał, zawołał Antonio, i tak daley mówił: Tyle już zarobiłem, że mogłem nowe sprawić sobie odzienie, i stanąć w rzędzie gondolierów — A żem był zawsze wesoł, i wiele pięknych umiałem piosenek, zarabiałem więcey, niż drudzy. Przejęci zazdrością ciągle mię prześladowali: heretyk, pies niemiecki, wszystko wściekłey ich gębie było zamało, aż na reszcie przed cztérma dniami, kiedym przy San-Sebastiano pomagał wyciągać na brzeg czółna, natarli na mnie z kamieniami i kijami w ręku. Jak mogłem broniłem skóry; ale ten chytry Nicolo, zaszedłszy z tyłu, tak silnie uderzył mię wiosłem po głowie i ramieniu, że padłem na ziemię bez duchu. Szczęściem oto nadeszłaś, opatrzyłaś mię i pożywiłaś. Obacz, jak dzielnie teraz mém ramieniem wła-

dam; żeby tylko wiosło, to póydzie, jak nie trzeba lepiey.

I prędkiemi ruchy wziął się Antonio naśladować wioślarza, podjął z ziemi łachmany; a potém poszedł daley, nie słysząc jak stara krzyczała: — Steruy dobrze móy synu, steruy jeszcze, będzie to już raz ostatni!

Nie zważał Antonio na jey krzyki: bo nayświetnieyszy widok roztoczył się przed nim. Lśkniący złotem Bucentaur, z adryatyckim lwem na powiewnych żaglach, zbliżał się z szumem bitey wiosłami wody. Otoczony tysiącem czółen i gondoli, zdawał się poważnie wznosić czoło ponad tłuszczą statkow, pokornie prących fale w około niego. Zachodzące słońce, rzucało płomienne promienie na morze i daley poza Wenecyą, świecącą się od blasku jak w ogniach. Kiedy Antonio, zapomniawszy o troskach, poglądał w zachwyceniu na to świetne widowisko, głuchy szum, co rozlegał się w powietrzu, nabrał strasznieyszego odgłosu. Wzniosła się z ciemnych obłokow burza, i wzdęły się gwałtownie fale. W okamgnieniu, rozpierzchły się czółna i gondole. Bucentaur, którego sama budowa niezdolną była wytrzymać burzy, zachwiał się wsrzód bałwanow morskich, i aż do brzegu rozległ się krzyk trwogi.

Postrzegł Antonio w tey chwili łódkę, przywiązaną do brzegu. Rzucił się natychmiast, oderwał, i porwawszy za wiosło, płynął ku Bucentaurowi.

— Ratuy, ratuy Dożę, krzyczano nań ze wszech stron: bo, podczas burzy, bezpieczniey jest na owych kanałach w lekkiém czółenku, niż

wielkim statku, rzuciło się mnóstwo z okolicy, na czółna ku ratunkowi Marino Falieri. Ale jeden tylko Antonio zdołał przedrzeć się przez fale do Bucentaura. Przyzwyczajony do podobnych niebezpieczeństw stary Falieri, zeskoczył rzezko z pyszney galery na łódkę biednego Antonio, który go w kilka chwil dostawił na plac śgo Marka. Spełniono uroczystość w kościele, dokąd udał się Doża, w zmoczoney odzieży. Lud i Senat, strwożeni niepomyślnemi wypadki, do których policzano jak za nieszczęsną przepowiednię, i to, że Doża nieuważnie przeszedł pomiędzy dwie kolumny, gdzie karano zbrodniarzy; pogrążył się w ponure milczenie, a dzień ten, tak wesoło zaczęty, smutkiem się zakończył.

Nikt nie pamiętał o wybawicielu Doży, nie myślał o tém nawet sam Antonio, dojęty bolem i utrudzeniem; jakież więc było jego zadziwienie, kiedy go jeden ze straży dworskiey, znalazłszy leżącego na wschodach, poprowadził przez wszystkie pałacowe pokoje do Doży. Spotkał uprzeymie stary Falieri, i, ukazując na dwa worki pieniędzy, leżące na stole, rzekł mu: weźmiy sobie, chłopcze te trzy tysiące cekinow; dam ci jeszcze więcey, jeśli to zamało; ale nie nasnway się mi nigdy na oczy.

Na te słowa zabłysnął wzrok starca, i zaczerwieniały lica. Zdziwiony Antonio, odszedł zabrawszy pieniądze, które naysłuszniey mniemał zarobić.

Nazajutrz rano, kiedy stary Falieri, w całym blasku nowego wyniesienia się, poglądał z pałacowego krużganku, na tłumnie zebrany i ćwiczą-

cy się lud pod bronią, Bodoeri, dawny jego z lat dziecinnych jeszcze przyjaciel, wszedł do pokoju Doży, pogrążonego w dumaniach — Falieri! zawołał dawny towarzysz broni, ah! jakież ci myśli zasępiły czoło odtąd kiedy go przykryłeś oznaką naywyższey dostoyności? Jakby ze snu przebudzony Doża, zerwał się i przyjacielsko powitał: bo postrzegł, że to był Bodeori, któremu winien swoje wyniesienie, a słowa jego brzmiały mu w uszach wymówką przyjaciela. Przemógł na sobie dumę, kilkusłównem podziękowaniem, i jął się natychmiast przekładać śrzodki obrony, które na nim ciążyły i zaymowały całą myśl jego.

— Pomówimy o tém obszernie, rzekł Bodoeri z uśmiechem, za kilka godzin w Senacie. Ale nie przychodzę do ciebie tak rano, dla narady jakby zuchwałego Doria pobić, lub jak do rozumu przywołać Węgierskiego Ludwika, co chciwem okiem pogląda na nasze dalmackie porta. Nie, Marino, myśl moja ku twojey tylko zwraca się o sobie, a pewno tego nie zgadujesz, żem przyszedł mówić ci o ślubie.

— Jak to, powiedział Doża, odwracając się i niecierpliwie poglądając po morzu, zkąd ci to przyszło? Wszakże jeszcze daleko do Wniebowstąpienia, a wtedy spodziewam się, że po ukorzeniu nieprzyjaciół Wenecyi, kiedy Lew Adryatycki opanuje rodzinne morze, wtedy moja narzeczona uyrzy godnego siebie małżonka.

— Ah! krzyknął zniecierpliwiony Bodoeri, gadasz mi o uroczystości Wniebowstąpienia, kiedy Doża ślubuje Adryatyckie morze, rzucając ze wzniosłego Bucentaura w jego głębie swoję o-

brączkę; czyż ty, móy stary żeglarzu, nie znasz inney narzeczoney, nad ten zimny żywioł, któregoś jeszcze wczora doznał niestałości! Nie, Marino, myślałem o słodszym związku; myślałem, że się połączysz z ziemską dziewicą, naypięknieyszą, jaką tylko sobie możesz wystawić.

— Szalejesz, odpowiedział Falieri, nie odwracając się od okna, szalejesz Bodoeri. Jaż, mam się żenić? ośmdziesięcioletni starzec, przywalony trudami i pracą, już ledwo kochać może!

— Stóy, Falieri, po co masz czernić sam siebie, przywalają cię lata, to prawda; braknież ci atoli w twém wieku młodzieńczey dzielności; lżeyszyż miecz przypasujesz od naszey młodzieży, powolnieyszymże krokiem stąpasz po książęcego stopniach pałacu, od naymłodszego z twych giermków?

— Nie, na świętego Marka!, zawołał Falieri zwracając się nagle od okna. Nie, dalibóg, żadnego jeszcze nie czuję pocisku starości.

— No, czemuż więc z czary życia nie chcesz czerpać pełnego wesela, jakie ci ziemia podaje? Podnieś więc tę, którą ci wybrałem na dogaressę, a przyznać jey będą musiały kobiéty pierwszeństwo we wdziękach i cnotach, jak mężczyzni uznają cię za naymędrszego i naywaleczznieyszego. Tu Bodoeri w tak żywych kolorach wystawił mu przeznaczoną piękność, że stary Falieri, pełen niecierpliwości, przerwał pytając, gdzieżby się znaydował ten wzór doskonałości?

— Jest to moja ukochana synowica rzekł Bodoeri.

— Co! zawołał Falieri, twoja synowica, co poszła za Bertuccio Nenola z Trevizo?

— Myślisz o mojey synowicy Franciszce? O nie, to jey córka. Wiesz, że Nenolo poległ w bitwie morskiey. Franciszka wtedy zamknęła się w rzymskim klasztorze, zostawiwszy mnie swą córkę Annunziatę, którą wychowałem w Trevizo.

— Cóż sobie myślisz? Rzekł Falieri z niesmakiem. Chcesz, żebym zaślubił córkę twojey synowicy? Wieleż to lat przeszło od ślubu Nenolo? Annunziata ledwo ma teraz lat szesnaście. Kiedym był podestą w Trevizo, Nenolo nie myślał jeszcze żenić się, a to już temu będzie.....

— Dwadzieści pięć lat, przerwał Bodoeri z uśmiechem. Annunziata dziewiętnastoletnia dziewczyna, świeża jak zorze, skromna, prosta i niewinna, do żadnego jeszcze nie przemówiła mężczyzny, będzie cię kochać, jak oyca, całkiem ci serce swe odda.

— Niech ją zobaczę, rzekł Doża, ze świeżym ogniem w oczach, niechże ją zobaczę.

Stało się zadosyć jego woli: bo tegoż samego dnia zręczny Bodoeri, mimo wiedzy rady, tajemnie wprowadził Anuuziatę na pokoje Doży. Odszedł od zmysłow stary Falieri, na widok tylu wdziękow piękney Wenecyanki, i ledwo zdołał wymówić swoje żądania. Skromnie przyklękła Annunziata przed ukoronowanym starcem, i ucałowawszy go w rękę z uszanowaniem, mówiła cichym głosem: — Oh! Panie moy, kiedy ci się podobało posadzić mię obok siebie na tronie, całe moje życie spędzę na twoich usługach, a szczęście twoje mojém będzie.

Odszedł od siebie stary Falieri, pełen szczęścia i radości; ledwo mógł wytrzymać tak niespo-

dziewane wydarzenie. Nie opuścił chwili Bodoeri. Związek z Annunziatą ułożony; ponieważ zaś stary Falieri lękał się przymówek szlachty weneckiey, ślub miał odbydź się w naywiększey tajemnicy, a w kilka dni potém Dogaressa miała publicznie stanąć przed Senatem, jakby zaślubiła Dożę w Treviso kiedy ten jechał w poselstwie do Awenionu.

Jakiż to młodzian, z piękném i dumném weyrzeniem, ślicznie ubrany, przechadza się po Rialto z pełną kiesą złota, rozmawiając naprzemian z żydami, turkami, grekami i armeńczykami; odwraca twarz zamyśloną i zwraca się nagle, staje, i znowu wraca, siada nakoniec w gondolę, płynie na plac ś. Marka, wysiada i błądzi ze spuszczonym wzrokiem, nie słysząc, miłych głosow, co się przed nim z bogatych krużgankow nie jednego pałacu rozchodzą? — Któżby w nim poznał tego Antonio, co przed kilku dniami, walał się okryty łachmanami na stopniach Dogany!

— Dzień dobry, móy synu, dzień dobry! wołała stara żebraczka, siedząc przed kościołem ś. Marka — Postrzegłszy ją chciał rzucić garść złota — Zostaw je sobie krzyknęła; lecz jeśli chcesz dopomódz, spraw mnie nowe odzienie: bo to, co noszę, nie osłania mnie już od wiatru, ani od deszczu! Ale nadewszystko strzeż się, móy synu, chodzić do Fontego, — do Fontego!

Wpatrzył się Antonio w jey żółtą, pomarszczoną twarz, i powiedział z gniewem: — Milczałabyś lepiey z podobnemi bredniami, stara czarownico! A w chwili kiedy to wymówił spadła żebraczka ze stopniow, na których siedziała. Pod-

biegł ku niey Antonio i podjął prawie nieżywą.

— Ah, cóżeś wyrzekł, mówiła słabym i zażalonym głosem? Wolałabym żebyś mnie zabił! Ah niewiesz, ile dotknąłeś tę, co cię kocha jak własne swe dziecię!

To mówiąc stara żebraczka, okręciwszy głowę ciemną wełnianą płachtą, co jey na ramiona spadała, zaczęła wzdychać i jęczeć, jakby nayniezноśnieyszym bolem dojęta. Wzruszył się mimowolnie Antonio, wziął ją pod rękę, poprowadził do przysionku kościoła i posadził na marmurowcy ławce. — Tobiem, rzekł, winien moje szczęście, bez ciebie byłbym jeszcze w nędzy, nie uratowałbym starego Doży, i nie miałbym tych cekinow. Powiedźże mi, czém ci się wywdzięczyć mogę?

Czule nań spóyrzała stara i rzekła: — Czyż już zapomniałeś, moje dziecię, tych czasów, kiedyś codziennie chodził po tym placu, czekając i wyglądając jakiego zysku, albo pracując na nędzną zapłatę?

Antonio westchnął głęboko, i siadłszy przy staruszce, tak daley mowił: Ah! przypominam sobie, że miałem rodziców, co żyli w dostatkach, ale nic nie wiem, kto oni byli, i co mnie od nich oderwało. Przypominam sobie męžczyznę pięknéy urody, który mnie często piastował na ręku, i śliczną kobiétę, która mi co wieczor przygotowywała miękkie i wygodne posłanie. Oboje mówili do mnie innym językiem, z którego jeszcze potem kilka słów pamiętałem. Nie raz mi moi towarzysze wiosła powiadali, żem z oczu, z włosow, z całego wreszcie ułożenia, na Niemca wyglądał. Tak i mnie się zdaje. Ah! z całego prze-

szłego życia, naymocniey wraziła się mnie w pamięć owa straszna noc, kiedym się niespodzianie z głębokiego snu przebudził. Wchodzono i wychodzono z pokojow, bez ustanku się drzwi odmykały i zamykały; straszno mi było, i płakać zacząłem. Zaraz przybiegła moja piastunka, porwała z łóżka, zatknęła mi gębę i obwinąwszy w prześcieradło wyniosła. Odtąd nie pamiętam, co się ze mną stało. Wiem tylko, że byłem potém w jakimś bogatym domu, w piękney okolicy. Pamiętam dziś jeszcze twarz tego mężczyzny, pełną szlachetney dumy, którego oycem nazywałem. Mówił on powłosku, i wszyscy w domu jego — Kilka tygodni nie widziałem mego oyca, kiedy nagle gromada ludzi złego weyrzenia, naszła na pokoje z hałasem wszystko przewracając. Postrzegli mię i zapytali, co w tym domu porabiam — Jestem Antonio, syn pana tego domu, odpowiedziałem. Rozśmieli się w głos, obdarli mię z pięknych sukienek, i wypędzili grożąc wybiciem, jeślibym śmiał powracać. Wybiegłem płacząc, i napotkałem niebawiąc starego sługę mego mniemanego oyca — Choć tu Antonio, biedny chłopcze, zawołał mnie i wziął za rękę. Nie ma już dla nas tego domu nazawsze, póydźmy razem szukać sobie chleba. Poszliśmy razem. Nie był on tak ubogi, jakby z jego oszarpaney odzieży wnosić było można. Skorośmy tylko przybyli do Wenecyi, wydobył z otłuszczoney swojey kamizelki nie mało cekinow, i założył na Rialto kramkę starych obrazow i sprzętow. — Kiedy je roznosił na sprzedaż, musiałem mu zawsze towarzyszyć, a za każdém utargowaniem prosił o cokolwiek dla swego *figliolo*. Dobrze mi było

przy tym staruszku, którego nazywano oycem Blaunas, ale krótko to trwało. Pamiętasz pewnie straszne trzęsienie ziemi, co obaliło wieże i pałace Wenecyi, kiedy ozwały się dzwony ś. Marka, jakby ręką olbrzymią wstrząśnione; siedm lat zaledwo od tey upłynęło klęski. Szczęśliwie uszliśmy ze staruszkiem z naszego domu, który tuż za nami zawalił się. Wszystkie czynności ustały, naygłębsza cichość panowała wśrzód Rialto, a na dobitkę nieszczęść, powietrze zagroziło miastu! Przyniesiona ze wschodu zaraza do Sycylii, grasowała już po Toskanii; ale jeszcze nie tknęła Wenecyi. Jednego dnia stary Blaunas targował się na Rialto z Armeńczykiem; dobili nakoniec targu i ściskali się serdecznie za ręce. Opiekun móy tanio ustąpiwszy Armeńczykowi swoje towary, dopraszał się, jak zazwyczay, o borysza *per il figliolo.* Armeńczyk, pamiętam, jak dzisiay, wysokiey urody, z gęstą brodą, spóyrzał na mnie przychylnie, pocałował, i dał mi parę cekinow, które natychmiast schowałem do kieszeni. Powróciliśmy w gondoli na plac ś. Marka. W drodze zapotrzebował staruszek moich dukatow, odpowiedziałem mu, że powinienem je u siebie zatrzymać, jako podarunek Armeńczyka. Skrzywił się na to; ale, kiedy na mnie cóś mruczał, postrzegłem jakąś brudną żółć na twarzy jego roztoczoną, a to, co gadał, jedno się drugiego nie trzymało. Kiedyśmy wysiedli na plac, posłonił się na bok, padł i w kilka chwil ducha wyzionął. Przyskoczyłem do jego ciała płacząc i krzycząc. A w tém w około lud zaczął się kupić, i zewsząd rozległ się straszny szmer, zaraza, zaraza! Każdy uciekł w swoję stronę. W teyże samey chwili zrobiło mi się słabo i cie-

mno w oczach. Kiedym przyszedł do przytomności, leżałem w obszerney izbie, na miękkim materacu, okryty wełnianą kołdrą; naokoło leżało także trzydzieści czy czterdzieści bladych i wychudłych osob, na podobnychże posłaniach. Dowiedziałem się poźnicy, że miłosierni mnisi ś. Marka, wychodzący z kościoła, zabrali mnie razem na swoję gondolę i zawieźli do szpitalu Benedyktynów przy klasztorze San *Giorgio Maggiore*. Słabość, w jakiey zostawałem, zupełnie odjęła mi pamięć tego, co się ze mną działo. Mówili tylko mnisi, że znaleźli mnie przy ciele Blaunasa. Oto masz wszystko, co wiem o sobie; jestem sam jeden na świecie, a jakikolwiek mnie los spotka, nie spodziewam się nigdy znaleźć szczęścia.

— Tonino, móy drogi Tonino, mówiła stara; ciesz się teraźnieyszym twym losem.

— Ah! jest jeszcze cóś takiego, mówił Antonio, co mi życie niespokoynym czyni, co mię dręczy i ściga bez końca, co mię prędzey, poźniey, zgubić musi. Jakaś żądza niewymówiona, pożerająca chęć czegoś, czemu nazwiska nadać nie umiém, owładała mnie całego, skorom się tylko z łóżka dźwignął. Kiedym dawniey po dzienney pracy, wracał na spoczynek, na naytwardszém zasypiałem posłaniu, a słodkie sny i marzenia darzyły mię szczęściem aż do przebudzenia. Dzisiay, wylęgam się na miękkich wezgłowiach, żadnym trudem nie dojęty; jednak mi życie ciężarem, i sen, co kiedyś leczył wszystkie troski moje, dzisiay stroni od zmęczonych powiek, —

Na próżno szukam przyczyny: czemu mnie dawniey tak żywo jaśniało, a dzisiay tak ciemno przechodzi życie. Rozpacz mię ogarnia, kiedy po-

myślę sobie, że nawet nie znam szczęścia, do którego z takiém uniesieniem wzdycham!

— Tonino, móy drogi Tonino, mówiła stara, żywo wzruszona frasunkiem młodziana, rozpaczasz, bo doznałeś szczęśliwych chwil, których pamięć nawet zatarła się w tobie. Biédne dziecię! chodź tu, poprowadź mnie do morza.

Niechętnie prawie Antonio wziął ją za rękę, i poprowadził przez plac ś. Marka. Kiedy przechodzili, rzekła mu po cichu stara żebraczka:— Antonio, czy widzisz ty tę krwawą plamę na bruku? Tak, krwawą! z tey krwi wyrosną piękne na wieniec dla ciebie róże! dla ciebie, i dla twojey ukochaney! O przedwieczny Panie, jakiż obłok światła idzie ku tobie z uśmiechem. Tonino, jey białe jak śnieg ramiona przyymują cię w swoje objęcia. Antonio! dziécię szczęścia; niech ci tylko odwagi nie braknie, a uszczkniesz myrt o zmroku, myrt dla młodey wdowy, twojey narzeczoney. Ale kwitnie on tylko o północy; czy słyszysz, jak wiatr świszcze wieczorny, jak morze szumi? Do wiosła, odważny żeglarzu do wiosła!

Zatrwożył się Antonio tak dziwną mową. Kiedy przyszli już do kolumny Lwa adryatyckiego, zatrzymał się, i ze zmarszczoném czołem, rzekł: stóy, stara czarownico, i gaday mi jaśniey. Przepowiedziałaś szczęście, jakie mnie spotkać miało za uratowaniem Dóży, to prawda; ale co ty mi dzisiay prawisz o młodych wdowach, myrtach, różach i narzeczonych? Chceszli mię oszukać, albo wystrychnąć na jakie głupstwo. Sprawię ci nową odzież, dam chleba, pieniędzy, i czego so-

bie sama zechcesz wreszcie, ale day mi tylko pokóy.

Chciał już odchodzić Antonio, ale żebraczka przytrzymała go za płaszcz: i rzekła: poprzestań Tonino, jeśli nie chcesz żebym się w morze rzuciła! Zostań przy mnie, móy synu, niech się wynurzę przed tobą. Siaday tu i słuchay.

Niechętnie przysiadł Antonio u stop kolumny, przeglądając rejestra przedsięwziętego handlu na Rialto— Tonino, powtórzyła stara, czyżeś ty mnie nigdy nie widział przedtém?

— Jużem ci mówił, odpowiedział Antonio, patrzając ciągle w papiery, że czułem jakiś pociąg do ciebie, którego wytłumaczyć sobie nie umiem: bo ile razy spóyrzę na twoje czarne świecące oczy, spiczasty nos, blade wargi, i rozczochrane siwe włosy, zawsze drżę cały myśląc, że może ty używasz jakich piekielnych na mnie sposobow.

— Ah! miły Boże! zawołała w rozpaczy żebraczka. Jakiż cię bies podobnemi mógł natchnąć myślami. Oskarżasz o czarodzieystwo tę, która zbawiła dni twoje od niebezpieczeństw, jakie ci w dzieciństwie groziły: bo tą kobiétą, o którey ci pamiątka dotąd jeszcze została, tą kobiétą, Tonino, ja jestem.

— Chceszże mnie podeyść, stara waryatko? żywo mi jeszcze tkwią w pamięci, te błogie dni życia dziecinnego wieku; widzę jak dzisiay tę śliczną kobiétę, jey świéżą i rumianną twarz, jey pełne słodyczy i ognia oczy, jey ciemne włosy, białą i pulchną rękę. Ledwo wtedy trzydziesty rok liczyła; a ty, ty pewno już blizko całego wieku dosięgasz.

— O Boże! zawołała stara, móy Tonino zapomniał już o swojey wierney Małgorzacie!

— Małgorzata? szeptał Antonino, Małgorzata? imie to brzmi w uszach moich, jak piosnka dawno zapomniana. Ale nie, to bydź nie może!

— Naypewniey tak jest, Tonino! mężczyzna, co cię pieścił na ręku, był to twóy oyciec, a język, którymeśmy przemawiali, niemiecki. Oyciec twóy był bogatym kupcem w Auzspurgu. Młoda jego i piękna żona, wydając cię na świat, umarła. Wtedy to uciekając z mieysca, w którém utracił tę, co kochał nad życie, pojechał do Wenecyi i zabrał mnie z sobą. Byłam twoją piastunką W okropney nocy, kiedy padł pod nieszczęsnym losem twóy oyciec, uratowałam syna od zguby: i przyjął cię w dóm swóy jeden magnat wenecki. Móy oyciec, z powołania chirurg, udzielił mi znajomości ziół lekarskich; lecz do tey nauki łączyłam jeszcze szczególnieyszy przymiot, przewidywania przyszłości, jakby w jakiém oddaloném, nie jasném źwierciedle, i nie raz mimowolnie przepowiadałam przyszłe wypadki. Kiedym została sama w Wenecyi, zarabiałam chleba moją nauką. W krótkim czasie, pouleczałam z zadawnionych i nayniebezpiecznieyszych chorób; a tak imie moje rozeszło się po całém mieście. Zazdrość kuglarzów, przedających pigułki i proszki na Rialto, oskarżyła mię o spółkę ze złym duchem. Uwięziona i stawiona przed sądem kościelnym, jakież męki znosiłam Tonino! Zniosłam jednak mężnie! pobielały mi włosy, zgięło się ciało, a ręce i nogi ściągnęły się jak mumija. Tortura, ten straszny wynalazek piekła, wydarła mi nakoniec zeznanie, na wspomnienie któ-

rego dzisiay mi jeszcze włosy powstają. Skazana zostałam na spalenie żywcem, lecz okropne trzęsienie ziemi, co pochłonęło gmachy Wenecyi, otworzyło mi drzwi więzienia. Uciekłam przez gruzy, jak upior z grobu. Ah! Tonino i mniemaszże ty, że mnie wiek taką przygniótł niedołężnością? Wynędzniałe to ciało, twarz pomarszczona, włosy osiwiałe, drżące nogi, wszystko to nie lata, ale męczarnie sprowadziły. A to konwulsyine drganie, i ten śmiech niechętny, co mi włosy jeży na głowie, skutkiem są ostatnich mąk wycierpianych.

— Niepojęta kobiéto, zawołał Antonio, zaczynam tobie wierzyć. Ale któż był przecie móy oyciec, jak się nazywał, i co go tey okropney nocy spotkało? Ktoż jest ten, co mię przyjął, i co się daley ze mną stało? Powiedz mi wszystko, a wtedy ci pełnie zaufam.

— Tonino, rzekła stara z westchnieniem, muszę teraz o tém zamilczeć; w krótce, wkrótce, dowiesz się o wszystkiém. Ale stroń zawsze od Fontego, Fontego, rozumiész!

— Przeklęta babo! krzyknął Antonio. Gaday mi, albo... Na te słowa groźnie podjął ramię. Lecz stara żebraczka wstrzymała go mówiąc:

— Stóy nieszczęsny chłopcze! zapomniałżeś o tey, która ci życie ratowała, i strzegła młodych dni twoich! uderzył się Antonio w czoło i nagle odszedł.

Dziwny to był widok, starego Doży Marino Falieri z młodą i śliczną obok żoną. Trzymał się jeszcze prosto, był zdrów i czerstwy, ale ście-

mniałą twarz jego i pomarszczoną siwa okrywała broda, zaczerwieniałe oczy wyglądały zpod zasępionego czoła; ona, z samym wdziękiem na twarzy i nadziemską słodyczą, miłą powagą jaśniało jey czoło przykryte gęstemi pierścieniami pięknych ciemnych włosow; widząc lekką i szczupłą jey kibić powiedziałbyś, że ta powabna istota, tylko co z niebieskiego zstąpiła przybytku. Niebieska postać aniołów, którą dawni malarze tak dobrze przejąć i wystawić umieli, jaśniała w całém jey ułożeniu; taką była Annunziata. Jak tylko pokazała się, możnaż się było spodziewać, aby otaczającą młodzież patrycyuszów nie rzuciła w zachwycenie i uniesienie. Otoczyli ją zaraz liczni wielbiciele, których pochlebne, uymujące rozmowy, skromnie i obojętnie przyymowała. Czysta jey dusza nie inaczey poymowała związek ze szlachetnym Dożą, jak w sposobie pełnego uszanowania i uniżenia; uważając siebie za naykornieyszą z jego służebnic. Falieri znowu ze swojey strony był czuły i nadskakujący; przyciskał do skrzepłego łona, nieszczędził dla swojey drogiey tysiącznych nayrzadszych podarunków; słowem: zgadywał jey myśli i jak rozkazy wykonywał; ujęta tylu staraniami Annunziata, nie przypuszczała sobie nawet w myśli przeniewierzenia się starcowi, co ją tylu łaskami obdarzył. Tak więc rozbijały się napróżno wszystkie zabiegi. Ale żaden z patrycyuszów nie wrzał tak gwałtowną miłością jak Michaele Steno. Chociaż jeszcze młody, wchodził do Rady czterdziestu; urząd jego i uroda obiecywały mu rychłe zwycięztwo. Nie dbał o starego Dożę, jakoż w rzeczy samey równo z ożenieniem stracił Falieri całą swoją poryw-

cześć i gniew nieuhamowany. Bezustannie siedział przy piękney Annunziacie, ustrojony w naybogatsze szaty, naywytworniey haftowane i wystrzygane ; z oczu gęstemi siwemi brwiami zarosłych, toczyły się łzy rozczulenia, kiedy na nią chciwie poglądał, a upojony szczęściem, zapytywał w swém uniesieniu, ktoby się podobną żoną poszczycił. Ucichł nagły niegdyś i wrzaskliwy głos jego, usta zwolna się tylko otwierały, i to tylko na nayczulsze wyrazy. Któżby w tym zakochanym i spokoynym starcu, poznał nieunoszonego Marino Falieri, co w ślepym zapędzie uderzył w policzek Trewizkiego biskupa, prowadzącego w dzień Bożego ciała processyją. Słabość ta, coraz bardziey wzrastająca,tém więcey jeszcze ośmieliła Stenona. Annunziata zdawała się nierozumieć pałających jego oczu, ciągle na nią zwróconych; obojętność więc dogaressy pogrążyła go w rozpacz. Knował nayzuchwalsze zamysły, i w tym widoku podszedł jedną ze służebnicAnnunziaty , która go tajemnie po nocy przyjęła. A tak mniemał że już utorował sobie drogę do celu swych życzeń; ale zbrodnia spadła na głowę samey sprawczyni. Stało się że Doża odebrawszy w nocy niepomyślną wiadomość o pobiciu Nicolo Pisani przy Portolongo przez Dorię , przechadzając się w bezsenności po krużgankach pałacu xiążęcego, nagle postrzegł, jakby cień jaki wychodzącego po wschodach z pokojów Annunziaty. Pośpieszył za nim co tchu; był to Michaele Steno. Straszliwa myśl mignęła po duszy Marino Falieri; rzucił się ze sztyletem naStenona, wymawiając imie Annunziaty. Ale silnieyszy i zręcznieyszy Steno, obaliwszy Dożę, uciekł powta-

rzając głośnym śmiechem: — Annunziata! Annunziata! Powstał w rozpaczy starzec, i pośpieszył z zakrwawionem sercem do pokojow żony. Wszystko znalazł w cichości. Zapukał... otworzyła drzwi inna pokojówka, niż za zwyczay sypiająca przy Annunziacie.

— Czegoż w tey niezwykłey porze, żąda móy szlachetny małżonek? zapytała z anielską słodyczą Annunziata, wstając z posłania.

Długo na nią patrzał starzec, i wzniosłszy ręce do nieba zawołał: nie, taka zbrodnia... to nie podobna!

— Cóż takiego nie podobna móy mężu? zapytała Annunziata zdziwiona zmienionym głosem i przerywaną mową Doży. Falieri, nieodpowiadając, obrócił się do służącey i rzekł: czemu tu Luiga nie śpi, jak zazwyczay?

— Luiga, odpowiedziała służebna, przemieniła się ze mną tey nocy; śpi w pierwszym pokoju przy wschodach.

— Przy wschodach! zawołał uradowany starzec, i pobiegł co prędzey do pokoju Luigi. Po krótkiém namyśleniu otworzyła, a widząc zagniewaną twarz pana i pałające groźnie oczy, padła na kolana, wyznając swóy wstyd, którego ukryć nie mogła: bo widocznie ją zdradzały para pięknych na krześle zostawionych rycerskich rękawiczek i mocny zapach ambry w pokoju. Nazajutrz napisał Doża do Stenona, żeby się nie ważył zbliżać do pałacu xiążęcego, ani gdziekolwiek bądź do osoby dogaressy, pod karą wygnania... Nie posiadał się z gniewu Steno, zmuszony stronić od Annunziaty; niekiedy ją w oknie postrzegał, rozmawiającą wesoło z młodzieżą patrycyju-

szów; a zapamiętała wściekłość szeptała mu ciągle, że dla szczęśliwszych wielbicieli, wzgardziła jego miłością, i głośno się z tem wyjawiał. Czy to, że stary Falieri zasłyszał co z rozmów Stenona, czy że nocne wydarzenie wziął za przestrogę niebios, czy że nakoniec zbyteczna różnica wieku czyniła go podeyrzliwym i niespokoynym, jednym razem stał się posępnym i niedowierzającym, całe piekło zazdrości ubodło go nagle, i zamknął przed wszystkimi w głębi swego pałacu Annunziatę. Ujął się Bodoeri za synowicę, i ostro wymawiał Falieremu; ale wszystkie jego dorady były daremne. Było to właśnie mało co przed *Giovedi Grasso.* Zwyczajem powszechnym przyjętym u ludu w dzień tey uroczystości, pod baldakimem, rozpiętym na rynku, przytykającym do pałacu, zasiadał Doża ze swoją małżonką. Przedstawiał więc Bodóeri Falieremu, że sprzeciwiałby się odwiecznym zwyczajom, gdyby w ten dzień zamykał Annunziatę. — I cóż ty mniémasz, odpowiedział zagniewany starzec, że obawiam się utracić naydroższy móy skarb, i że nie ufam już mojemu żelazu w jego obronie? Mylisz się przyjacielu; jutro uroczyście pokażę się na placu ś. Marka z moją Annunziatą, niechay się lud przypatrzy; a w dzień *giovedi grasso*, odbierze uroczyście bukiet podany jey przez napowietrznego żeglarza.

Był to od niepamiętnych czasow zaprowadzony zwyczay, źé w dzień *giovedi grasso*, z naywyższego stanowiska dzwonicy ś. Marka, w małém czółenku na linie przywiązaném spuszczał się pędem strzały młodzieniec z ludu wybrany,

i podawał małżonce Doży świeży bukiet kwiatow.

Nazajutrz dotrzymał Dożas łowa. Annunziata, ubrana w nayprzepysznieysze szaty, poszła z mężem na plac ś. Marka, wśrzód licznego orszaku, panów, giermków i straży; cisnięto się ze wszech stron na zabóy, żeby tylko obaczyć piękną dogaressę, a kto tylko ią uyrzał, nie znał granic w pochwałach. Wśrzód tego zapamiętałey wesołości obchodu, usłyszano satyryczne wiersze i paszkwile na starego Dożę i młodą małżonkę. Szedł Falieri spokoynie, nie zważając bynaymniey na namiętne zewsząd rzucane weyrzenia na piękną Annunziatę jego. Kiedy już wchodzili do portyku pałacowego, skąd straż nie bez trudności spędzała cisnący się motłoch, jakiś młodzian, co stał o ścianę oparty, krzyknął razem: o Boże przedwieczny! i upadł bez zmysłów na marmurową posadzkę. Ostąpiono go zewsząd, i tak zasłoniono, żeby nie widziała Dogaressa; mimo tego jednak zbladła, posłoniła się, i przy wszelkich staraniach, ledwo co nie omdlała. Stary Falieri oburzył się na nieznajomego, i tuląc do siebie Annunziatę, odprowadził na pokoje.

W tém kiedy lud, ostępując młodzieńca, którego miał za umarłego, przybierał się go wynieść, odkryła się dziwna scena. Jakaś stara kobiéta, okryta łachmanami, przedzierając się przez natłok ludu krzyczała: zostawcie go, zostawcie, on żywy; uklękła przy nim, zwiesiła głowę na jego piersi, i zaczęła mu skronie ocierać z oznaką naywiększego przywiązania. Patrząc na jey straszną i po-

marszczoną twarz, zwieszoną na blade i martwe młodzieńca lice, na brudne i obrzydliwe łachmany żebraczki, okrywające jego bogate odzienie; na te skostniałe i wyschłe ręce, obeymujące śliczne i białe czoło, zdawało się, że w sameyże śmierci objęciach spoczywał nieszczęsny Antonio. Mimowolny przestrach opanował przytomnych; wielu nie mówiąc słowa odeszło, kilku na reszcie pozostałych, zaniosło go do wskazaney przez żebraczkę gondoli. Szybko odbili od brzegu i przed ubogiém zatrzymali się pomieszkaniem.

Kiedy przyszedł do zmysłow Antonio, uyrzał przy łóżku starą, krzątającą się koło niego z orzeźwiającemi kroplami.

— Tyżeśto przy mnie, Małgorzato? przemówił. Dzięki Bogu. Któżby koło mnie z taką chodził troskliwością? Ah! przebacz, jeślim kiedy na chwilę nie dowierzał tobie. Tak, tyś to jest ta Małgorzata, co mię pielęgnowała w dziecińśtwie. Nie mówiłżem ci, że jakiś urok niedościgły unosił się nade mną? Ale błysnął oku memu promień światła, i pogrążył mnie w zachwyceanie. Teraz, wiém wszystko, — Wszystko! Bertuccio Nenolo nie byłże moim oycem przybranym? onże to mię wychował nie opodal Trevizo?

— Ah! prawda, na nieszczęście, odpowiedziała stara, tak Bertuccio Nenolo, bohater morza, którego pochłonęły fale w chwili, kiedy się okrywał chwałą, był...

— Nie przeryway mi, rzekł Antonio; a słuchay cierpliwie: — Byłem szczęśliwy przy Bertuccio, na niczém mi nie zbywało, miałem piękne sukienki; czekały mię zawsze przygotwane przysmaczki, kiedym się zmordował biegając; mo-

głem bawić się do woli po gajach i łące, bylebym tylko odbył moje pacierze. Zaraz za progiem zieleniał gay świeży sosnowy, ciemny, i pełen ptasząt. Pamiętam jednego wieczora, kiedym zmordowany dziennèm bieganiem, usiadł pod drzewem, patrząc po niebie, kiedy zachodziło słońce, nie wiem, czyli to było skutkiem wyziewu ziół usypiających, zawarły mi się oczy i zdrzemałem. W tém lekkim szelestem przebudzony, powstaję; Anioł, dziecię niebios, stało przy mnie, i pozierając z uśmiéchem, przemówiło miłym głosem: „A cóż! spałeś spokoynie, a śmierć straszna, śmierć była przy tobie!“ Jakoż bliziutko leżała rozciągniona żmija z potrzaskaną głową; zabiło je dziecię gałęzią, kiedy pełzła już do mnie. Wiedziałem, że dawniey Aniołowie zstępowali z nieba na ratunek ludziom w nagłych razach; padłem więc na kolana, i podnosząc złożone ręce: — Ah! zawołałem, Aniele światła, którego Bóg zsyła na wybawienie mię od śmierci. Ale niebieskie to, jak mniemałem, zjawienie, wyciągnęło do mnie rączki i rzekło zarumienione: „Ja, mała dziewczynka, nie Anioł, ja takież same dziecię, jak ty!“ Powstałem pełen zachwycenia, ująłem za rączki, usta się nasze spotkały, uścisnęliśmy silnie jedno drugiego, i potoczyły się łzy radości w lubém milczeniu. Razem ozwał się donośny głos w lesie: Annunziata, Annunziata! „Muszę odchodzić, mama mnie woła“ szepnęła dziewczynka, a piekąca boleść rozlała się po duszy moiey.

— Ah! ja ciebie tak kocham, mówiłem, zlewając wrzącą jey twarzyczkę łzami! — i ja ciebie kocham, lube dziecię! powtórzyła dziewczyn-

ka, zostawując na mych ustach ostatnie pocałowanie. Annunziata! zawołano powtórnie, i znikła pomiędzy drzewami. Zważ, Małgorzato, była to chwila, w którey miłość zatrzęsła w me serce iskrę tego ognia, którym jeszcze dzisiay gorę! Wkrótce potém wygnano mię z domu. Oyciec Blaunas, kiedym jemu opowiadał o tém niebieskiém dziecięciu, którego odtąd głos mniemałem zawsze słyszeć w szumie drzew, w mruczeniu potoków i morza wśrzód ciszy, oyciec Blaunas mawiał mi, że tém dziecięciem nie mógł bydź kto inny, jak córka Nenolo, która go wtedy z matką Franceską zwiedzała, a nazajutrz odjechała. O matko moja! o Małgorzata! o Boże, ratuy mnie! ta Annunziata, dzisiay żoną Doży!

Domawiając tych słów Antonio, skrył twarz do pościeli, i jęcząc ścinał zębami poduszkę, po którey się tarzał.

— Móy drogi Tonino! uspokóy się rzekła stara, oprzyy się mężnie szaloney boleści. Na co tyle rozpaczać w miłości? A dla kogożby jeśli nie dla kochanków, rozwijały się złote kwiaty nadziei! Nie wiemy wieczorem, co nam ranek zwiastuje, a nie raz sprawdzają się marzenia nasze. Ty mnie nie wierzysz, Antonio, ale ja ci przepowiadam, że miłość was przyymie na morzu w wesołey gondoli. Miey tylko cierpliwość, Tonino, cierpliwość!

Nadszedł *Giovedo-Grasso*. Niewidziane dotąd uroczystości miały się odbywać. Wzniesiono ogromne rusztowanie na mnieyszym rynku ś. Marka, gdzie wynalazca, Grek, dziwne miał sztuczne ognie pokazać. Wieczorem stary Falieri

zasiadł na krużganku z młodą małżonką. Wtém postrzegłszy Stenona przy Annunziacie, wrzący gniewem i zazdrością krzyknął, żeby się oddalił; odgroził mu Steno, ale natychmiast zmusiła go straż do ustępu.

Tymczasem Antonio, przyszedłszy do siebie, poszedł na brzeg morza, przedzierając się w noc ciemną przez tłumy. Dumał: czy nie lepieyby było rzucić się w zimne bałwany, i zagasić płomie, co go pożerało, a niżeli dręczyć się bez końca. I już blizkim był wykonania nieszczęsnego zamysłu, kiedy ktoś z małego czółenka zawołał nań: Ha! dobry wieczor panie Antonio! Przy oddalonym odblasku illuminacyi, poznał dawnego towarzysza, wesołego Pietro, płynął gondolą, w czapeczce z piórami i galonem w odzieniu upstrzonem różnobarwnemi wstążkami, z przepysznym bukietém w ręku.

— Wieczor dobry, Pietro, odpowiedział Antonio; gdzież płyniesz w tak świetnym ubiorze? Eh! panie Antonio, krzyknął Pietro, płynę pomoje trzy cekiny; dzisiay to spuszczam się z wieży, z pięknym dla dogaressy bukietem.

— A cóż, bracie, skok to nie nader bezpieczny, powiedział Antonio.

— Nie nader, odezwał się Pietro, wybornie można kark skręcić, a szczególnie dzisiay, kiedy wypadnie przebierać się przez te ich sztuczne ognie; powiadać to wprawdzie Grek, iż mi włos z głowy nie spadnie, ale .... Tu Pietro pokiwał głową.

Antonio rzucił się na czółen, i postrzegł, że już blisko byli kołowrotu, z którego jeden ko-

niec liny spadał na morze, a drugie migały się i nikły w ciemnych obłokach.

— Słuchay Pietro, mówił Antonio, po niejakim namyśle, słuchay bracie; nie lepieyże byłoby, żebyś dzisiay dziesięć zarobił cekinow, nie narażając na złamanie twego karku?

— Pewno, że lepiey, odpowiedział śmiejąc się Pietro.

— Dobrze więc! rzekł mu Antonio; masz dziesięć cekinow. Zamieńmy odzienie, i puszczay mnie na swoje mieysce. Spuszczę się za ciebie. Cóż, nie lepieyże tak będzie?

Poskrobał się w głowę Pietro, i rzekł, ważąc w dłoni swojey złoto: — Wdzięczny to ja jestem panie Antonio, że jeszcze o mnie pamiętasz, i dotylaś wspaniały. Dobrzeć to jest mieć pieniążki, ale oddać bukiet w ręce Dogaressie, słyszeć jey miły głosek, oto masz, dla czego się życiem poniewiera. Ale kiedy już tak domagasz się, zgoda i na to.

Ledwo co źmienili odzienie, prędzey krzyknął Pietro, oto już znak wydany. Zajaśniało morze tysiącem snopów ognistych, i zadrżały setnemi, gromy brzegi morskie. W mgnieniu oka wzniosł się Antonio, wśrzód żarzących się świateł sztucznego ognia, i jak błyskawica spadł na krużganek przed Dogaressą. Wstała i postąpiła jednym krokiem naprzód, poczuł na twarzy słodki jey oddech, podał bukiet i nie mogąc w swém zachwyceniu wstrzymać palącey żądzy, osypał gorącém ucałowaniem rękę Annunziaty, tysiąc razy powtarzając jey imie, jakby zmysły postradał. Ale nagle uniosł w górę kołowrót, jakby siłą przeznaczenia, którego tu zdawał się bydź organem, i odry-

wając go od ukochaney, rzucił daleko na morze, gdzie bezprzytomny padł prawie w objęcia Pietro, który nań oczekiwał z czółenkiem.

Ale na krużganku wszystko było w zamięszaniu i bezładzie. Znaleziono napis na krześle Doży; w prostey mowie weneckiey wyrażał:

Il dose Falier della bella mujer.
I altri la gode e lui la mantien *).

Stary Falieri w gwałtownem uniesieniu gniewu poprzysiągł naysurowszą na winowaycę karę. Nagle postrzega Stenona z ironicznym uśmiechem na twarzy; każe go straży jako przestępcę zatrzymać; ale zewsząd powstały szemrania; cała obecna szlachta wenecka, okrzyknęła, że Falieri obraża zarazem panów i lud, łamiąc przywileje szlachty, i mieszając niesprawiedliwemi rozkazy obchody publiczne. Nie omylił się jednak Doża; bo Steno przyznał się otwarcie do czynu, zwracając na niego winę, jako dającego powod urazy. Oddawna już senat krzywo poglądał na swego naczelnika, że zamiast tego, coby się miał oddać cały sprawom publicznym, gnuśniał niedołężnie przy młodey żonie; wolał więc, ująć się za Stenona, niż mścić się krzywdy Doży. Odesłano sprawę do rady czterdziestu, w którey Steno zasiadał. Ucierpiał już on dosyć, według ich zdania i karę jednomiesięcznego wygnania osądzono za dostateczną. Obaczymy, jakie pociągnęła za sobą skutki obrażona tym sądem duma starego Doży.

Co do Antonio, ten nie mógł jeszcze przyyśdź

*) Doża Falier ma piękną żonę, ale ona nie dla niego.

do siebie; rozpaczał, że już nigdy więcey nie uyrzy tey, którą skrycie uwielbia. Jednego razu przyszła uradowana żebraczka, z różnemi przyprawami do maści, i rzekła uśmiechając się: zgadniy Tonino, móy synu, zkąd też to ja powracam?

Spóyrzał na nią Antonio z podziwieniem.

— I cóż nie zgadniesz, odpowiedziała stara. Otoż wracam! od niey, od piękney Annunziaty!

— Ah! nie dobijayże mię do reszty, zawołał Antonio.

— Nie wieszże ty móy biedny, Tonino, że ja ciągle o tobie myślę. Dzisiay, przechodząc koło pałacu, podsłuchałam jak ubolewano nad przypadkiem Dogaressy: zapytałam coby to było takiego, odpowiedziano, że skorpion ukąsił ją w ogrodzie za palec, i że doktor Basseggio, wezwany na radę, nie widział innego ratunku nad upiłowanie ręki. W teyże samey chwili, na wschodach pałacowych usłyszałam wielki hałas, zepchnięto jakiegoś człowieka, który, tocząc się aż nadół po stopniach, przeraźliwie wrzeszczał. Ostąpił go lud naokoło, i wytykając palcami, ze śmiechem przepuścił doktora. Taką to rada Basseggio otrzymała nagrodę. Co rychley więc pobiegłam do siebie, przyprawiłam maść, i pośpieszyłam do pałacu. Właśnie wtedy wychodził z pokojow Falieri — Czego chcesz staro? zapytał mię; odpowiedziałam, iż przyszłam doradzić jego wysokiey małżonce. Spóyrzał na mnie, pogłaskał swą siwą brodę, a potém, chwyciwszy mię za ramiona, tak silnie popchnął przeze drzwi, że ledwom się utrzymała na nogach. Ah! Tonino, żebyś ty ją widział, kiedy siedziała obłożona poduszkami, blada, osłabiona, ję-

cząca, i kiedy boleśnym głosem wołała: Oh! Boże móy, krąży mi jad po wszystkich żyłach. Wzięłam ją za rękę, poodwiązywałam bandaże doktora i przyłożyłam móy plaster. — Czuję się lepiey, powiedziała. — Sto cekinow nagrody, krzyknął Doża, jeśli uleczysz mi żonę. Przez trzy godziny bez przerwy, nacierałam i okładałam świeżą maścią jey rękę; powoli przecknęła się z osłabienia, i przestała uskarżać się na bole. Mile spóyrzała na mnie, i oświadczyła swą wdzięczność. — Niebo ci wraca, pani, to życie, które niegdyś ocaliłaś śpiącemu dziecięciu, kiedy się doń żmija zbliżała? — Tonino, ah! żebyś widział jak nagły wtedy rumieniec okrył jey lice, i jakim się zażegły ogniem jey przygasłe boleścią oczy — Pamiętam, staruszko, powiedziała mi, byłam wtedy dzieckiem jeszcze. Byłoto w letniém mieszkaniu mojego oyca; jakże to ładne dziecię; zdaje się, że go jeszcze widzę. — Wtedy powiedziałam jey o tobie, żeś teraz w Wenecyi, że tkwi dotąd jeszcze w twojey pamięci ta chwilka szczęścia; że dla uyrzenia oblicza opiekuńczego Anioła, naraziłeś swoje życie, podając bukiet w dzień *giovedo-grasso*.

— Ah! zgadłam to, odpowiedziała, kiedym uczuła na ręku palące pocałowanie, odbiło się mi w duszy całe szczęście przeszłe. Przyprowadź go do mnie, niech oglądam to śliczne.....

Tu przerwał Antonio i padając na kolana zawołał: o gdybym mógł dożyć tylko tey chwili, w której ją mam uścisnąć, jużbym nie dbał o życie!

Już od kilku tygodni przyszła do zdrowia Do-

garessa; ale nie było sposobu wprowadzenia Antonio. Napróżno stara jego piastunka cieszyła rozmaitemi sposobami: nic uhamować jego niecierpliwości, ani ukoić zgryzoty nie mogło. Nie raz dręczony niespokoynością, pływał po wszystkich kanałach, przebiegał wszystkie place, zwracając się zewsząd do książęcego pałacu. Jednego razu postrzegł przy moście, wiodącym z pałacu do więzień, swego dawnego towarzysza Pietro wspartego na malowaném wiośle; gondola jego przytwierdzona do pałacowych kolumn kołysała się zlekka po wodzie: nie wielkie to było czółenko, ale przykryte pięknym namiotem, z wenecką flagą, przy tém suto rzeźbą ozdobione, i z bogatey pozłoty podobne do świetnego Bucentaura.

— Witaycie, *signor* Antonio! zawołał Pietro, wasze cekiny sprowadziły mi szczęście. Jakie szczęście, zapytał rozgniewany Antonio.

— Toć nie fraszki, krzyknął Pietro, bydź przewoźnikiem Doży, i przewozić go co wieczor ze śliczną, jak Anioł żoneczką do Giudecca, gdzie mają letnie mieszkanie.

— Słuchay, bracie, rzekł Antonio, chceszli jeszcze zarobić dziesięć cekinów albo i więcey? Puszczay mię na swoje mieysce.

Na próżno wymawiał się Pietro; musiał nareszcie przystać. A w chwilę przybiegł Antonio za wioślarza już przebrany w pomoc kolledze. Tuż po nim nadszedł Doża.

— Co to za jeden? zapytał z marsem Falieri. Ledwo mu zdołał wmówić Pietro, że dla trudney przeprawy musiał wezwać w pomoc swego towarzysza, i usiadł Antonio na jedney z ławek

książęcey gondoli. Stary Doża posadził przy sobie żonę, czule jey rękę uściskał. Kiedy wypłynęli na głębinę, zkąd rynek ś. marka wspaniałe wieże i pałace Wenecyi roztaczały się przed okiem, podniosłszy dumnie głowę Falieri zawołał: a cóż Annuuziato! Nie dobrzeli pływać po morzu, z władzcą i małżonkiem morza? Ale moja miła nie zazdrości małżonce co nas tak zlekka na swych falach unosi. Czy słyszysz to łagodne mruczenie wody, nie sąžto miłośne słowa do narzeczonego, który nad nią panuje? Nosisz moję obrączkę Annunziato, i ta druga małżonka, chowa mój pierścień na głębi zimnego łoża.

— Ah! panie, odpowiedziała Annunziata, drżę cała, kiedy sobie przypomnę, że złączony jesteś z tym chłodnym i wilgotnym żywiołem, który w każdey chwili może odkryć swe łono na twoje przyjęcie!

Uśmichnął się stary Doża — i rzekł, uspokoy się, moje dziecię; wolę ja twoje objęcie, niżli tey starey Amfitryty. Ale czyż nie jest to szczęście, pływać po morzu z małżonkiem morza?

W chwili, kiedy to Doża mówił, dała się słyszeć zdaleka muzyka, a przyjemny i piękny głos męzki, dopływał przez fale, w tym śpiewie:

Ah! senza amare
Andare sul mare
Col sposo del mare
Non può consolare *.

*) Ah! bez miłości, cieszyć nie może, pływać po morzu z małżonkiem morza.

Połączyły się razem inne głosy, i dochodziły naprzemian, póki wzmagający się wiatr nie zagłuszył śpiewu. Stary Falieri nie dawał na to żadnego baczenia; cały zajęty objaśnieniem uroczystości w dzień Wniebowstąpienia, kiedy Doża, spuszczając z Bucentaura obrączkę, ślubował morze.

Prawił o zwycięztwach rzplitey, jak Istria i Dalmacyja podbite zostały za Piotra Ursyna II, i jak ta uroczystość, od czasu tego zwycięztwa nastała. Lecz, jeśli Doża nie zważał na piosnkę, nie słyszała Dogaressa opowiadaney historyi. Cała zajęta słodkim śpiewem, unoszącym się po morzu, skoro tylko ucichł, rzuciła wokoło siebie błędnym wzrokiem, jak kiedy budząc się ze snu, szukamy jeszcze przedmiotów marzenia. *Senza amare. — Senza amare. — Non può consolare!* powtarzała sobie cichym głosem, i łzy błysnęły w niebieskich jey oczach, a pierś ciężkiem wzdęła się westchnieniem. Doża, ciągle jeszcze opowiadając, wyszedł z czółna, podał rękę żonie, i weszli do domu *San-Giorgio maggióre*, nie postrzegając, że Annunziata, cała wzruszona, niewiedziała, co się wokoło niey działo. Zadął maytek w trąbkę z kąchy, na dany znak zbliżyła się druga gondola. W tém mężczyzna z kobiétą wynieśli baldakim i przyprowadzili Dożę z małżonką aż do pałacu. Przybiła do brzegu druga gondola, wyszedł Marino Bodoeri z licznym orszakiem kupców, artystów, służalców, i wszyscy poszli za Dożą.

Ledwo przebył cały tu dzień Antonio, w oczekiwaniu na pomyślne wezwanie Annunziaty.

Nakoniec przywlokła się chromiejąc stara, i ciężko siadając na krześle, załamała ręce, mówiąc: — Tonino, ah Tonino! cóż się to naszey miłey stało! kiedym dziś weszła do jey pokojów, tarzała się po poduszkach z nawpół przymkniętą powieką; nie senna, nie czuwająca, nie zdrowa, ani chora; przystąpiłam do niey: pani moja, cóż to znaczy takiego? zapytałam. Czyliżby tylko co zagojona rana znowu dolegać miała? — Spóyrzała wtedy na mnie, spóyrzała wzrokiem, jakiegom w niey dotąd nie widziała Tonino; a ledwom tylko zayrzała na jey zroszone oczy, zaszły pod delikatne powieki, jak księżyc za lekką chmurkę. Zaczęła głęboko wzdychać, i kryjąc zbladłą twarz w bogate wezgłowia, z cicha, ale tak boleśnie powtarzała, że aż mi łzy w oczach stanęły: *Amare, amare. Ah! senza amare!* — Siadłam u nóg jey, i zaczęłam mówić o tobie. Chowała ciągle twarz swoję, co raz częściey wzdychając. Powiedziałam; jak byłeś przebrany na gondali, jak ją ciągle widzieć pragniesz; jakże się wtedy łzy toczyły z jey oczu. Krzyknęła źmienionym głosem: zaklinam, na Boga, i na wszystkich świętych! niechay się do mnie nie zbliża, nie mogę nań patrzeć. Niechay opuszcza Wenecyą, a to, co prędzey, co prędzey! — Winienże umierać ten biedak Antonio, zawołałam z kolei, i w tey samey chwili wszedł Doża, dając znak, żebym się oddaliła.

— Onaż mnie odpycha od siebie, odpycha daleko! zawołał Antonio w naywiększey rozpaczy.

— Biedny chłopcze, rzekła uśmiechając się stara. Nie widziszże ty tego, że Annunziata, kocha ciebie pełném sercem, że ją nayokrótniey,

jak tylko sobie wystawić możesz, dręczy miłość? Jutro, móy synu, przychodź w noc ciemną do książęcego pałacu, stań przy drugiey galeryi po prawey ręce, u wielkich wschodów, będę tam czekać na ciebie.

Nazajutrz, kiedy, dręczony niespokoynością Antonio, szedł po wschodach pałacu, drżały mu nogi, i szedł niepewien siebie, jak zbrodniarz; ledwo oparł się o kolumnę przy galeryi mu wyznaczoną: jednym razem mignęły pochodnie, i nim zdołał zruszyć się z mieysca, spotkał go stary Bodoeri. Spóyrzał z uwagą, i rzekł: Ah! to ty Antonio. Wiém na co tu ciebie postawiono. Chodźże no zamną.

Przekonany Antonio, że zdradzony w oczekiwaniu, poszedł ze drżeniem. Lecz, jakże się zadziwił, kiedy wchodząc w oddalone pokoje, uścisnął go Bodoeri, i mówił o ważném mieyscu, dlań przeznaczoném, do objęcia którego dzisieyszey nawet nocy miał przystąpić. Podziwienie jego zamieniło się w niespokoyność i bojaźń, kiedy się dowiedział o dawno knowanym przeciwko Senatowi spisku, na czele którego był sam Doża, i że teyże samey nocy Marino Falieri miał bydź okrzykniony w Giudecce, samowładnym panem Wenecyi. Poglądał Antonio w głębokiem milczeniu na starego Bodoeri, który, biorąc to jego milczenie za niepewne wahanie się, zawołał gniewny: nikczemny zdrayco, nie wyydziesz, skoroś tylko raz wszedł do tego pałacu! Musisz zginąć lub wziąć się do broni. Lecz oto masz wprzódy zdać przed kim sprawę ze swych postępkow.

Wtém postrzegł Antonio w głębi sali poważną osobę, a skoro ją tylko przy świetle pocho-

dni rozeznał, padł na kolana wykrzykując: „O Boże, to móy oyciec Bertuccio Nenolo, móy drogi opiekun!” Podjął Nenolo młodzieńca, uścisnął serdecznie, i odpowiedział uprzeymie: „Widzisz przed sobą Bertuccio Nenolo, któregoś miał dawno, za spoczywającego na dnie morskiém, a który uszedł z więzienia Morbassana; Bertuccio Nenolo, który cię w dóm swóy przyjął, ale przewidzieć nie mógł żeby cię służalcy Bodoeri wygnali. Biedny chłopcze! czegoż się wahasz jąć broni przeciwko burzliwey kascie, której okrucieństwa ofiarą poległ twóy oyciec! Idź na dziedziniec Fontego, krew której jeszcze ślady znaydziesz na bruku, to krew oyca twego — Kiedy Senat wynajął kupcóm niemieckim sklepy w Fontego, zabronił im brać w drogę klucze od kantorów, oddawać je musieli na ręce Fontegaro. Oyciec twóy nie dopełnił tego rozkazu: znaleziono w jego nieobecności pomiędzy towarami skrzynkę fałszywych dukatow weneckich. Napróżno składał się niewinnością; napróżno dowodził, że jego nieprzyjaciele, że sam nawet może Fontegaro wcisnął na jego zgubę do sklepow skrzynkę; osądzono na śmierć i ścięto w Fontego! Przyjaciel twego oyca, przyjąłem cię do siebie, i chroniąc od wygnania, źmieniłem ci imie. Teraz Antonio Dalbinger wybiła godzina zemsty, cień oycowski wzywa cię do broni.”

Wiadomo, że znieważony Bertuccio Nenolo policzkiem od admirała Dandolo, związał się z jego zięciem przeciwko Patrycyuszom. Nenolo i Bodoeri postanowili złożyć władzę w ręce Marino Falieri, żeby ją samym z nim dzielić. Ułożyli spiskowi, rozgłoszeniem, że flota genueńska we-

szła do zatoki, poruszyć miasto. W nocy miano uderzyć w wielki dzwon ś. Marka, i wezwać mieszkańców ku obronie rzeczypospolitey. Na dany znak spiskowi mieli opanować miasto, wyrznąć przeciwną partyą szlachty i obwołać nowego władzcę. Ale nie dopuściły nieba uknowaney rzezi. Rada dziesięciu odkryła spiskowych w Giudecca, w samém mieszkaniu Dożży; wszakże ostateczney jeszcze pewności nie było. Tymczasem jeden ze spiskowych, kuśnierz Bentian, chcąc ocalić Nicola Leoni, zasiadającego w radzie dziesięciu, dla którego wiele miał obowiązków wdzięczności, ostrzegł go ostatniego wieczora, aby nie wychodził w nocy z domu, cokolwiekby się w mieście przydarzyć mogło. Leoni powziął podeyrzenie, zatrzymał kuśnierza, i zmusił do wykrycia całego zamachu. Wezwawszy wtedy Giovanni, Gradenigo i Marino Cornaro zwołali radę do San-Salvator, gdzie wszelkie przedsięwzięto środki na przytłumienie spisku w samym zarodzie.

Antonio z przeznaczonym oddziałem poruczone miał zajęcie placu ś. Marka i uderzenie na gwałt w dzwony kościoła. Przybywając znalazł już kościoł zbroyném żołdactwem otoczony, rozpierzchli się spiskowi, nie miał czego czekać Antonio, ratował się ucieczką. W tém posłyszał kogoś goniącego za sobą, odwraca się jak przebić sztyletem, lecz przy świetle pochodni poznaje Pietro.

— Ratuy się! krzyknął dawny jego towarzysz, rzucaymy się na gondolę. Wszyscyście zdradzeni. Bodoeri, Nenolo, wpadli w ręce Senatu, drzwi

pałacu zawarte, a Doża we własnych pokojach uwięziony.

W milczeniu i smutku wstąpił Antonio do gondoli. Słychać tylko było zdaleka pomięszane krzyki, szczęk oręża, i gdzie niegdzie jęki; wkrótce nastała przerażająca cisza. Nazajutrz straszny odkrył się widok; ciała spiskowych wyrzucone zostały ze sztyletami w ranach na rynek, gdzie się odbywały uroczystości, na które z wyniosłego krużganku, poglądał Doża w dzień Wniebowstąpienie, i gdzie Antonio spuścił się do nóg piękney Annunziaty. Pomiędzy trupami widziano Marino, Bodoeri i Bertuccio Nenolo. We dwa dni potém stary Falieri, skazany przez radę dziesięciu na ścięcie. Wykonana kara w pałacu.

Umknął bez trudności Antonio: bo nikt go za spiskowego nie miał. Kiedy widział, jak ścinano głowę starego Doży, krzyknął z przerażenia i wbiegł do pałacu. Nikt go w tém zamieszaniu nie zatrzymał. Przy pokojach Doży napotkał płaczącą żebraczkę, która wskazała mu drogę do Annunziaty. Padł przed nią na kolana, całował jey ręce i zlewał obfitemi łzami. Annunziata bezprzytomna, bez życia prawie, zlekka otworzyła oczy. Kiedy postrzegła swego Antonio, rzuciła się na niego płacząc i powtarzając: „Antonio! Antonio, móy drogi! .... Jakże cię kocham; ah! jest jest jeszcze szczęście na ziemi. Uciekaymy co prędzey z tych mieysc okropnych.” — I zapomnieli w gorących objęciach, powtarzanych przysięgach, wszystkich okropności. Nareszcie stara ostrzegła żeby nie tracąc czasu uciekali do Chiozza, że już na nich czekał Pietro z czółnem pod mostem pałacu. Nad wieczor wyszła okryta

Annunziata z Antonio i Małgorzatą, która niosła pod pachą skrzynkę z brylantami Dogaressy. Doszli szczęśliwie do mostu — Antonio jął się do wiosła; odbijał się księżyc po powierzchniach fali, i wkrótce puścili się na otwarte morze. Zawyły wiatry, ciemne chmury zakryły gwiazdy, i straszna powstała burza.

— O ratuy nas, Boże przedwieczny, ratuy! krzyknęła stara.

Antonio, nie mając już sił utrzymać wiosła, objął Annunziatę, która, jakby przebudzona z głębokiego marzenia, tuląc go do łona. — O, mój Antonio! krzyknęła; i nie było już dla nich ni wiatrów, ni burzy; a morze, ta zazdrośna wdowa ściętego Doży, wznosząc po obu stronach czółna fale, jak dwa olbrzymie ramiona, pochłonęło obu, kochanków, w bezdenney głębini. *J. K.*

POEZYA.

POŻEGNANIE.

Wkrótce, o luba, porzucisz te strony,
Gdzieś przebiegała lata pacholęce,
Gdzie ręką moją z róż wieniec pleciony,
Nie raz ozdabiał twe skronie dziecięce.
Znikły dni błogie, jak mara pierzchliwa:
Teraz się ciągłym dręczę niepokojem;
Jedna mi błysła jutrzenka szczęśliwa,
I tę unosisz wraz z obliczém twojém,
Gdziekolwiek zorza wdzięków twych zaświeci,
Znaydziesz ołtarze ustrojone w kwiaty;

Nam kiedy wszystko, ach, z tobą uleci,
Będą łzy tylko na wspomnienie straty,
Póydę je zlewać do owego zdroju,
W którym się kiedyś twóy obraz malował,
Gdzieś nie raz piła śród letniego znoju;
Może mi dawną postać twą zachował.
Jeśli twarz święta w krysztale zapłonie,
Łez tam nie puszczę: na cóżbym ją kaził,
Lepiey na owe topole wyronię;
Na korze, których imie twem wyraził,
Niech rosną buyniey, i moje nadzieje.
Może tu kiedyś stanąwszy przytomnie,
Kiedy twe oko ogniem zajaśnieje,
Czytając cyfry wspomnisz też i o mnie.
Lecz drzewo kruche ząb czasu pożyje,
Trwalszego dla cię wyszukam pomnika;
Na twardym głazie twe imie wyryję,
Gdzie ustroń głucha, gdzie pieczara dziką.
A kiedy serce, gryzotą zatrute,
Poczuje resztę zlatającey chwili,
Dołączę dłótem te słowa wykute;
Tu leży Emrod przyjaciel Emili,
Ty powrócona macierzyńskiey błoni,
Chroniąc się gwaru obojętnych gości,
Zwrócisz krok błędny ku cichey ustroni,
Kędy po zgonie złożą moje kości.
I zatopiona w rozpamiętywaniu,
Używać będziesz swobodney przechadzki;
Natenczas w liści ruchliwych szemraniu,
Zwabi twe stopy urok świętokradzki.
Wstąpisz śród brzozy żałobnych warkoczy,
I uyrzysz pomnik, i wyczytasz słowa,
I wspomnisz o mnie — odwrócisz twe oczy,
Pierś twą okropność ogarnie grobowa.

Nie chcę, byś dla mnie miała żywot krócić;
Dla ciebie młody świat igra wesoły,
Lecz po stu wiosnach, gdy zechcesz świat rzucić,
Uproś z mojemi twe złączyć popioły.

POJEDYNEK ROZBROJONY.

W pysznym salonie liczne zebranie,
Tańcuje młodzież wesoła;
Rozmowy wiodą starce i panie,
Radość i pokoy dokoła.
Lecz między dwóma jakaś rozmowa,
W osobney sali się toczy:
Godło niezgody, przecięte słowa,
Odbija echo z uboczy.
Toczy się jakaś rozprawa twarda:
Niekiedy z ust im wypadnie,
Swiętość honoru, życia pogarda:
O co? — Nikt z obcych nie zgadnie.
Często dosłyszeć można wyrazy:
Szacunku, cześci, przyjaźni;
Słowa wyrzutu, cierpkiey obrazy,
Wzdrygnienie na wzmiankę kaźni.
Czasem pytania bez odpowiedzi,
Lub odpowiedź tajemnicza;
Jeden drugiego czasem uprzedzi,
Jakieś dowody wylicza.
To mówią sobie uprzeymiey, tkliwiey;
To jakiś zapał wybuchnie,
I coraz głośniey i coraz żywiey;
I nagle wszystko znów głuchnie.
Tak łącząc chmury obłok znikomy,
Gdy niebo mrokiem zasunie,
Wydaje częste, przerwane gromy,

I zda się piorunem runie,
Milczenie długie, pokoju znamie,
Pewno im szału przystudzi —
Aż dzikie echo nagle się złamie,
I dzika utarczka zbudzi.
— Więc się rozprawmy — rozprawmy — rzekną, —
Porwą za szable i bronie;
Staną naprzeciw, gniewem się wściekną,
Od gniewu zbroyne drżą dłonie.
Gdybyś zdumiony pragnął obrazu
Wrzącey w sercu nawałnicy,
Dosyć jednego czoła wyrazu,
Jedney oczu błyskawicy.
Już wyprężyli silne ramiona,
Już głazem stanęli w kroku;
Kiedy niewiasta, z dzieckiem u łona,
Sród nich stanie w łez potoku.
— W moję pierś raczey wraźcie te groty,
Coście zwrócili ku sobie,
Niech nie znam w życiu syna sieroty,
Niech nie zostanę w żałobie. —
— Żono! rzekł jeden, ustąp dla Boga!
Żaden nie splamił cię zakał —
Zwalczę lub zginę — sława mi droga. —
Lecz rywal zadrżał — zapłakał.
Na te niewinne wspomniał ofiary,
Mściwą broń na bok odciśnie;
— O przyjacielu! zgaśmy pożary —
I mu na szyi zawiśnie.
— Swiadkiem jest niebo, tyś mię obraził,
Lecz wemnie za skrzepło męztwo;
Nie pomnę krzywdy, tyś się nie skaził,
Twéy żonie przyznay zwycięztwo.

PRZECHODZIEN. *Piosnka z francuzkiego.*

Starzec. Przechodniu! w wieku kwitnącey świeżości,
Jakaż dni twoje zatruwa tęsknica?

Przechodzień. O dobry starcze! żałuy méy młodości,
Co ją zajęła dworów nawałnica.

St. Los bezwątpienia jest niesprawiedliwy,
Ale nie zawsze nas dotyka srodze.
Bóg, co na twojey postawił mię drodze,
Bóg ci przeze mnie udziela,
Prawdziwego przyjaciela,
Bądź szczęśliwy, bądź szczęśliwy.

Prz. Nieszczęście moje niech ci udowodni,
O mocy Boga na tym świecie kary.
Wkrótce świątynie wystawią dla zbrodni,
Jakiey pałace dostarczą bez miary.

St. Weź moje ramie, przechodniu płaczliwy,
Długa ci podróż osłabiła nogi;
Jak ty, w twym wieku odbywałem drogi.
Bóg ci przeze mnie udziela i t. d.

Prz. Sród burzy korne gdym zanosił prośby,
Do Boga modląc o względy łaskawe,
Nad głową moją sztylet ciężkiey groźby,
Wzniesiony wyrył przeznaczenie krwawe.

St. Patrz — oto moja pustelnia, zdróy żywy.
Wypiymy nieco krzepiącego wina:
Niestety! miałem w twoim wieku syna!
Bóg ci przeze mnie udziela, i t. d.

Prz. Nie — tak on nie jest naywyższą istnością,
Co sama sobą zaludnia niezmierność,
I świat nim nie jest, jest tylko nicością,
Co bezpotrzebną zaymuje obszerność.

St. Ot moja córka, którey żal twóy tkliwy,
Boleśne z piersi wyrywa westchnienie,
Ona starości mojey pocieszenie.
Bóg ci przeze mnie udziela i t. d.

Prz. W tey nocy straszney czyż krzepiąc nadzieje,
Bóg ten pośpiesza prowadzić me kroki?
Ach! cóż mi potém wreszcie, że istnieje,
Jeśli żyć jego bronią mi wyroki.

St. Odpędź młodzieńcze sen z oczu zwodliwy.
Oto twóy nocleg i twoje mieszkanie,
Zastąp mi syna, co wzbudza me łkanie,
Bóg ci przeze mnie udziela i t. d.

Młodzian zostaje, podoba się, kocha,
Małżonek, oyciec uwieńczony w kwiecie,
Cieszy tych, którym fortuna macocha,
Wzbroniła wszelkiey roskoszy na świecie.
„Los bezwątpienia jest niesprawiedliwy,
Ale nie zawsze nas dotyka srodze:
Bóg, co na twojey postawił mię drodze,
Bóg ci przeze mnie udzieła,
Prawdziwego przyjaciela,
Bądź szczęśliwy! bądź szczęśliwy."

WIĘZIEN. *Pieśń z francuzkiego.*

Królowo fali, na twéy bystrey łodzi,
Płyń, a twe pieśni echo niech powtarza wdali,
Wiatry słodkie po jasney muskają powodzi,
Niebo się śmieje, płyń, królowo fali.
Ja tęskny jeniec, w kwiecie mego życia,
Sród téy zapadłey, bezludney zagrody,
Czekam codziennie twojego przybycia,

Jak czekam głosu kochaney swobody,
Królowo fali na twey bystrey łodzi i t. d.
Wielką i piękną woda cię odbija,
Łono twe kształci szczęśliwe okręgi,
Biegowi żagla twojego co sprzyja,
Zefiry, czyli miłości przysięgi?
Królowo fali i t. d.
Jakaż otucha poczyna mię cieszyć?
Ty pragnież z ciężkiey mię wyrwać niewoli;
Wolny przez ciebie chcę za tobą śpieszyć,
Na drugim brzegu jest szczęście móy doli,
Królowo fali i t. d.
Zbliżasz się do mnie, jak Anioł, nadobna.
Zdajesz się płakać, gdy ból móy otwieram.
Ale niestety! nadziei podobna,
Pomijasz — znikasz: — a ja, — ja — umieram!
Królowo fali i t. d.
Błąd więc kłamliwy uwiódł moje zmysły.
Ale nie — ku mnie ty wyciągasz dłonie;
Gwiazda, od którey dni moje zawisły,
Jeszcze mi jutro twym blaskiem zapłonie,
Królowo fali, na twey bystrey łodzi,
Płyń, a twe pieśni echo niech powtarza wdali.
Wiatry słodkie po jasney muskają powodzi,
Niebo się śmieje, płyń królowo fali.